

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

6

Hanka wzruszyła ramionami. Widziała, że siostry nie przekona, rozumiała zresztą jej uczucia, nie chciała więc drażnić jej bezcelową opozycją.

— Moja droga Stasiu, jakkolwiek to jest, my musimy spełnić to, czego podjęliśmy się! Proszę cię Stasiu, włoż prędko zakiet i chodźmy. Pan Montwiłł jest już w „kuchni” z pewnością.

Ostatnie słowa Hanki podziałały na Stasię. Szybko włożyła zakiet, zawiązała woalkę i rzekła do siostry:

— Jestem gotowa! Spieszmy, bo rzeczywiście możemy się spóźnić!

W drodze obiecywała sobie Stasia, że zmierzy Montwiłła pogardliwym, zimnym spojrzeniem i nie przemówi do niego ani słowa.

Postanowienia te pierzchyły jednak tak, jakby nigdy nie istniały, kiedy zobaczyła płową głowę młodzieńca, pochyloną nad kwitkami przy kasie.

Montwiłł uklonił się z uprzejmym uśmiechem wchodzącym pannom.

Stasia oczekiwała jakiegoś słowa przeproszenia czy wytłumaczenia za sprawiony zawód, ale młodzieniec nie powiedział nic.

Nie miał zresztą czasu. Kasa była formalnie obleżona. Goście kuchni tłoczyli się, cisnęli do kasy, wołając jeden przez drugiego:

— Proszę pana, dla mnie herbatę czystą!

— Proszę o herbatę z mlekiem!

— Trzy chleby po cztery halerze z marmoladą!

— Dwa chleby ze serem!

— Dla mnie za dwa halerze chleb suchy — zamawiający westchnął. Brakowało mu widocznie dwóch halerzy, aby zjeść bardziej luksusowy podwieczorek.

— Dla mnie proszę „würstle” z musztardą, herbatę z mlekiem i trzy chleby z marmoladą! — zadzwonił tryumfalnie głos pucotowatego chłopca w mundurku gimnazjalnym.

Gimnazjalista obrócił się do kolegi i tłumaczył mu:

— Przysłała mi matka trzydzieści koron, więc sprawiam sobie dzisiaj bal! Chcesz, to i tobie fundę parę „würstli”. Pycha, że w naszej kuchni to za „szubę” można się najeść.

— Ano płac, kiedyś kapitalista! Może sobie także „kolaje” wsuniemy, co?

— Dobrze! Tylko muszę się wprzód dowiedzieć, co będzie dzisiaj na kolację, czy czasem nie brr! mamałyga... Tej siwej pani i tamtej czarnej panny, co się tak ostro patrzy, nie śmiałem się pytać, ale teraz przysłała panna Stasia, wiesz ta taka ładna, wesoła... Zapytam się jej, ona mi powie...

Do ucha Montwiłła nachylił się młodzieniec w mocno podszarzałej kurtce:

— Kolego, a możeby tak bezpłatną?... — szepnął cicho — Psiakrew, nie chciałoby się korzystać z tej dobroczynności, ale co robić... Grosza nie mam przy duszy, a żołądek piszczy...

Montwiłł szybko skinął głową i wypełnił odpowiednią kartkę w bloczku...

Blady młodzieniec w wyszarzałej kurtce wziął kartkę i zgniótł ją w dłoni, jakgdyby z gniewem. Ciężko mu snąć było korzystać z bezpłatnego podwieczorku, przeznaczonego dla najbiedniejszych.

Wolnym krokiem skierował się do stołu, gdzie huczała wesołym płomieniem gazowa kuchenka.

Uprowadził go pucotowaty gimnazjalista i przecisnął się do Stasi, która zgrabniutka i fertyczna, w białym fartuszk ze szelkami, krzątała się koło stołu, odbierając od swojej poprzedniczki doktorowej Winnickiej chleb, cukier, marmoladę i inne wiktuały podwieczorkowe.

Pani Winnicka, starsza już kobieta, miała głowę mocno przyprószoną siwizną... Regularne, jakby wyrzeźbione rysy świadczyły, że musiała być niegdyś bardzo piękna. A i teraz twarz jej ujmowała wdziękiem, a wyblakłe już nieco błękitne oczy spoglądały na ludzi tak jakoś dobrze i rozumnie, że zdawały się mówić, wszystko zrozumieć, to znaczy wszystko przebaczyć.

Gimnazjalista wręczył swoje kartki Stasi.

— Ho! ho! Aż tyle i czegoż to pan Adaś sobie życzy? — zapytała Stasia z przyjaznym uśmiechem chłopca.

— Dwie „parki”, proszę pani, dwie herbaty z mlekiem i cztery chleby z marmoladą... Tylko niech pani da grubo marmolady, dobrze? Bo ta panna Jancia — tu Adaś zniżył głos i rzucił zukosa spojrzenie ku wysokiej, chudej pannie, nazwanej przez niego po-

przednio „czarną panną” — to strasznie cienko smaruje i takie kromki kraje, że Kraków można przez nie zobaczyć.

Stasia roześmiała się z tej skargi.

— Pan Adaś, jak widzę, chciałby dostać protekcyjną porcję! Nic z tego nie będzie. Ja posmaruję jeszcze cienie, niż panna Janka.

— Już ja w to nie wierzę! Pani jest dobra! — oświadczył z przekonaniem Adaś — I pani mi powie, co będzie dzisiaj na kolację, bo jabym chciał sobie kupić kartkę, ale się boję, że będzie mamałyga...

— Dobrze, dowiem się zaraz...

Stasia pobiegła do kuchni i powróciła za chwilę z doniesieniem, że na kolację przygotowane są pierogi ruskie ze serem.

— Pierogi! Pyszności! Słyszysz Jurek! Wsuwamy po dwie porcje! Jak bal to bal! Dziękuję pani, panno Stasiu, bardzo dziękuję...

Do lokala „taniej kuchni” weszła w tej chwili majestatycznym krokiem wysoka dama, w której na pierwszy rzut oka można było domyślić się jakiegoś naczelnikowej czy radczyni z głębokiej prowincji.

Niezwykłej wielkości pióro powiewało tryumfalnie na kapeluszu tej damy... Oczy mrużyła co chwila i przykładała do nich tak zwaną „impertynentkę” osadzoną na rączce udającej sztyldkret...

Naczelnikowa czy radczyni podniosła natychmiast do oczu swoje „lorgnon” i krytycznym spojrzeniem obrzuciła salę, na której wrzał w całej pełni ruch podwieczorkowy i rozbrzmiewał gwar wesołych głosów.

Dama zbliżyła się do doktorowej Winnickiej.

— Proszę pani, przysłałam powiedzieć, że moje panienki więcej już na dyżur nie przyjdą...

— Tak? a dlaczego?... — zdziwiła się pani Winnicka — Panna Tosia i panna Mania tak chętnie i zreźnie pomagały nam w naszej wspólnej pracy... Czy nie mają obecnie czasu?

— No, czasu im nie brakuje... Właściwie to nawet nie wiedzą dziewczęta, co z tym czasem zrobić...

— A zatem?... —

— Doszłam do przekonania, że to niewłaściwe dla nich zajęcie...

— Tak uważa pani naczelnikowa? A dlaczegoż to, jeżeli mogę zapytać?

— Widzi pani, jabym, broń Panie Boże, nie chciała obrazić drogiej pani doktorowej, ale znajomy nasz pan nadradca Spiączka zwrócił mi uwagę, że „tania kuchnia” nie jest odpowiednim lokalem dla młodych, dobrze wychowanych panienek...

— A czemuż motywował pan nadradca swoją niepoehlebną opinię o naszej „kuchni”?

— Niech się kochana pani nie obraża tem, co powiem... On mówił, że tutaj przychodzi sama... no sama hołota, a panienki odgrywają rolę kelnererek...

Pani Winnicka uśmiechnęła się z lekka. Jej przezdziwnie dobre, rozumne, łagodne oczy z jakimś smutkiem spojrzwały przed siebie.

— To źle, to bardzo źle i bardzo smutnie, że teraz w tym czasie są ludzie u nas, którzy tak mówią, a co gorsza tak myślą...

— Ależ, proszę pani doktorowej, pan nadradca Spiączka, to człowiek bardzo rozumny, poważny, on wie przecież, co mówi...

— Być może, nie przeczę, ale niech pani spojrzy na salę...

Pani Winnicka wskazała ręką przed siebie na długą salę „taniej kuchni”, mroczną nieco w dzień, a teraz oświetloną już jasno z powodu wczesnego zimowego wieczoru gazowymi lampami.

Na sali było rojno i gwarno... Nastrój był swobodny, pozbawiony sztywności, jakby rodzinny. Znać było, że ci ludzie, zajapijący ze smakiem tanią herbatę i zajądający suche czy smarowane kromki chleba czują się tutaj „u siebie”.

Nikt się nie wstydił podniszczonego ubrania, niemodnego kapelusza, skromnej bluzki, starej sukienki.

Kilku chłopców w mundurkach gimnazjalnych przyniosło ze sobą mandoliny i stroiło je teraz, przygotowując się do odegrania serenady.

Przy długim środkowym stole, założonym dzieńnikami i pismami illustrowanymi, siedzieli goście zotopieni w czytaniu.

Przy innym stole jacyś zapaleni szachiści rozgrywali partię szachów, wokół nich skupiła się gromadka młodych chłopców, śledzących z natężoną uwagą przebieg gry.

Gdzieindziej znowu kilka osób gwarzyło z cicha o czemś, a twarze poważne, stroskane wskazywały, że przedmiot rozmowy nie był zbyt wesoły.

Jakaś młoda matka trzymała na kolanach kiloletnie dziecko, pojąc je herbatą zaprawioną mlekiem i karmiąc chlebem z marmoladą.

Małeństwo śmiało się głośno, chlupało herbatę, zlizywało słodką marmoladę z kromki, mazało sobie

nią paluszki i cienkim donośnym głosikiem dzwoniło, jak srebrny dzwoneczek.

— Daj! daj! mama! dole! dole! papu!

Pani Winnicka chwilę patrzyła na ten barwny, ruchliwy obraz i uśmiechnęła się z jakimś wewnętrzny zadowoleniem.

— Nie wiem, kogo pan nadradca Spiączka nazywa hołotą... Określenie to w każdym razie ślizkie i ryzykowne... Niech pani popatrzy... Widzi pani tutaj chłopców w mundurkach gimnazjalnych, młodzież akademicką, sporo inteligencji, którą wojna wytrąciła z warunków normalnych, żołnierzy rannych, którzy leczą się w tutejszych szpitalach, rzemieślników, nauczycieli, nauczycielki... O! Proszę popatrzeć tam pod oknem siedzi kobieta wiejska w barwnym stroju krakowskim... Słowem jakby naród w miniaturowie, złączony tutaj na wychodźstwie w jedną rodzinę... Brakuje tylko bardzo bogatych, no, ale dla tych nie stwarzaliśmy naszej „kuchni”... Trudno, tania kuchnia nie jest dla milionerów... A nasze panie i panienki uwijają się wśród tych, tak nam miłych gości, usługują im z własnej chęci, z poczucia obowiązku... To nie jest łaska, to nie jałmużna, to obowiązek... Pani naczelnikowa przestraszyła się nazwy kelnererek, więc proszę patrzeć i sądzić... Przed chwilą usługiwałam ja z córką profesora uniwersytetu, teraz krzątają się dwie nauczycielki, później przyjdą inne znowu młode panny, równie chętne do tej wspólnej pracy... Żadna z nas nie boi się nazwy kelnerki... Same uprzątamy wszystko, same myjemy szklanki, no i przyznam się pani naczelnikowej, że nie uważam, aby to którejkolwiek z nas miało ubliżać... Aż miło patrzeć, jak doktorowa Koryczkowa, która ma w domu u siebie dwie służące i gospodynię, szoruje tutaj stół, myje szklanki i robi to wszystko z zapalem i gorliwością... Proszę, niech pani patrzy. Czy tutaj dzieje się coś nieprzyzwoitego, lub złego?... Pani naczelnikowa była trochę zmieszana.

Pani Winnicka mówiła spokojnie, łagodnie, ale ton jej głosu był tak przekonujący, rozumowania tak jasne i logiczne, że naczelnikowa musiała uczuć pewne zawstydzienie...

Załowiała teraz w głębi ducha, że posłuchała nadradcy...

— Tak, pani doktorowa powiedziała to bardzo pięknie... Obowiązek... Wspólna praca... Ja to przecież rozumiem... Takie wyjątkowe czasy... Jabym przecierz chciała także, żeby moje dziewczynki... No! To niechże sobie chodzą dalej... Przecież pod opieką pani doktorowej... Powiem nadradcy, że się omylił... Namówię go, aby przyszedł, bo on jeszcze nigdy tutaj nie był...

— Otóż to właśnie!

Naczelnikowa nachyliła się do pani Winnickiej i szepnęła tajemniczo:

— Tylko, podobno tutaj panienki flirtują z akademikami.

Pani Winnicka uśmiechnęła się znowu.

— Czy pani chodzi z córkami pod „Łabędzia”?

— Ależ naturalnie, przynajmniej dwa razy na tydzień!

— A czy tam nie ma flirtu?

Naczelnikowa zastanowiła się.

— Ależ jest! Jest naturalnie i to okropny, bezwstydną poprostu... Aż uszy nieraz wędzną od słuchania, oczy bolą od patrzenia...

— A widzi pani, a pani prowadzi tam swoje córki... Nie twierdzą bynajmniej, że tutaj nikt nie flirtuje... Nie rozumiem bowiem dlaczego by ta młodzież, która się w naszej „kuchni” zbiera, miała być wyjętą z pod ogólnych praw młodości i życia... Jeżeli która panna flirtować nie chce, to nikt jej z pewnością nie zmusi...

— Tak, ale czy to która nie chce? — westchnęła naczelnikowa.

— W takim razie znajdzie sobie i gdzieindziej sposobność.

Naczelnikowa opuściła „kuchnię” przekonana.

Hanka Staszyńska krajała starannie kromki chleba, smarowała je, a Stasia lawirowała po sali, roznosząc herbatę i przekąski.

Starala się przytem zawsze przejść jak najbliżej kasy, aby zwrócić na siebie uwagę Montwiłła.

Daremnie jednak. Młodzieniec zdawał się być zupełnie zatopiony w swoich rachunkach i nie zwracał uwagi na śliczne zjawisko, które go musnęło kilka razy w przechodzie końcem swojego białego fartuszka.

Gniew Stasi, który opadł na widok Montwiłła, budził się znowu.

— Dlaczego on na mnie nie patrzy? Dlaczego nie mówi nic?

Zapagnęła mu zrobić coś na złość, dokuczyć czemś, ale nie wiedziała czem. Przysłała jej do głowy dziecinna myśl, żeby go niby niechcący oblać go-